

Krótki kurs voyeryzmu

Czasami miewam dzikie myśli

Żyjemy w świecie niesamowitej wręcz łatwości kontaktów. Wystarczy nacisnąć klawisz komputera, aby osoba po drugiej stronie oceanu albo tuż pod biegunem mogła zapoznać się z Twoimi najnowszymi przemyśleniami nad problemem zapośredniczania rzeczywistości chociażby. Na ekranie telewizora możemy zobaczyć Eskimosa z Grenlandii, Jakuta z Jakucji, Indiankę z dorzecza Amazonki czy Japonkę w tradycyjnym kimonie. Czasem misia koala albo wala błękitnego. Wszystko to ma rzekomo sprawić, że kontakty między kulturami i różnymi strefami rzeczywistości są żywe, jak nigdy dotąd. Niekiedy te kontakty są tak żywe, że przybierają formę masowych grobów, ale wtedy pojawia się magiczne słowo, które miałoby tłumaczyć wszystko: ksenofobia. Że za mało modemów i za mało telewizorów w przeliczeniu na głowę mieszkańca.

Czerwiec: grecka Macedonia, u podnóża Olimpu. W mieście, które przetrwało blisko sześć tysięcy lat, nie da się wytrzymać choćby godziny. Nad głową latają ponaddźwiękowe myśliwce najnowszej generacji, a w Olimp wałą działa - wybuchy raz po raz naruszają zbocza jednego ze świętych europejskich szczytów. Baza wojskowa NATO, ot co. Szykują się do kontaktu z kulturami zza sąsiedniego łańcucha górskiego. Wracając do hotelu widzę na szybie autobusu miejskiego nalepkę, jakich widziałam tu w ciągu kilku dni mnóstwo: o tym, że Macedonia jest tylko grecka. Rdzennie grecka. Nigdy nie było innej historii - na wzgórzu w odległości kilkunastu kilometrów, nad Morzem Egejskim - góruje odbudowany z grantów Unii Europejskiej zamek. Gołym okiem widać, że większość murów ma jakieś dwa, trzy lata. Historia wypisana na ogromnej tablicy (oraz zamieszczona w lokalnym przewodniku) głosi, że zamek zawsze był grecki i jest świadectwem ciągłości GRECKIEJ Macedonii. Odbudowując mury, buduje się historię - od nowa. Wracając z miasteczka (jeden z „kurortów” zbudowanych w całości i od zera w ciągu raptem dwudziestu lat) do usytuowanego na uboczu hotelu pozdrawiamy skinieniem głowy starszego człowieka, który codziennie pasie spore stado owiec i kóz wędrując za nim po (jeszcze rozległych, choć już pożeranych przez „kurort”) dzikich nadmorskich łąkach. Starszy człowiek za każdym razem odpowiada nam w swoim języku (i nie jest to język grecki) i dostojnie uchyla kapelusza. Czujemy się czasem jak przybysze z bardzo barbarzyńskiej kultury. On i kilka kobiet zbierających zioła przy brzegu naprędce wykonanej drogi, na której co rusz znajduje się rozjechane węże i jeże (nie mogą widać pojąć, że ktoś mógł tak arogancko przeciąć ich odwieczne szlaki), i jeszcze biegające beztrąsko dzieci o skórze bardziej śniadej niż miejscowi właściciele hoteli: kim są?

Mieszkają w okrągłych namiotach rozbitych tuż za miasteczkiem, widać je z naszego balkonu i codziennie o zachodzie słońca dochodzą stamtąd śpiewy muezzina. „*To Cyganie, proszę się nie niepokoić, obywatele miasteczka już podjęli starania, żeby ich się stąd pozbyć*” odpowiada z uśmiechem właściciel hotelu i żałuję, że w ogóle go o nich zapytałam. Na jego twarzy maluje się odraza. Czy wie kim są? To Cyganie i tyle. Równie dobrze mogą to być Wołosi, Albańczycy albo...rdzenni mieszkańcy Macedonii. Tak czy owak, dzisiaj ich (nieprzystający do sączonych z telewizora wzorców) styl życia jest zagrożeniem w pejzażu pożerany przez jednakowe hotele w pastelowych kolorach, budowane z kolejnych unijnych prezentów za pilność w tej szkole niszczenia własnego dziedzictwa, jeśli jest ono niewygodną mieszkanką kultur, kolorów skóry i religii. Przy całej propagandzie o greckiej Macedonii, jak złowieszczy śmiech brzmi codziennie lokalne radio: pełne przepięknej muzyki (nazwalibyśmy ją pewnie popową, ale nie ma nic wspólnego z ogólnościową wata dźwiękową, która kojarzy się jedynie z końcowymi produktami przemiany materii) w której co i rusz brzmi Turcja, Bałkany, może i Grecja - ale która? Bo tę antyczną dopiero tu budują, dla turystów, za granty Unii Europejskiej. Na każdym zaś kroku wyziera Grecja, pardon, Macedonia,

pełna wschodniej magii, pełna Bizancjum i imperium osmańskiego. Gdzieś w tym wszystkim odnajdujemy elementy znane nam dobrze z karpackich kapliczek, różańce, którymi obwieszono są stragany z „pamiątkami” do złudzenia przypominają buddyjskie „male” (choć z daleka, to przecież z tego samego kontynentu).

Jaki kontakt z innymi można mieć przez ekran komputera lub telewizora? Czego tak naprawdę dowiadujesz się o ludziach i ich kulturze? Czy jej doświadczasz? Czy możesz spróbować ich potraw, zanurzyć się w zapachach ich ziemi?

Kiedy jeszcze kilkadziesiąt lat temu karpaccy maziarze spod Gorlic wyruszali na swą wędrówkę, która często kończyła się aż w Kownie czy Wilnie, większy mieli kontakt z różnorodnością kultur, miejsc, form życia, niż my kiedykolwiek będziemy mogli sobie wyobrazić. Bo w naszych czasach prawdziwy kontakt został zastąpiony przyjemnością podglądacza i konsumpcją egzotycznych artefaktów, które można kupić w sklepie na rogu. Możemy też sobie zakupić kilka kompaktów „world music” i lepszy program do multimediiów.

Anna Nacher